

1

Zgodnie ze zwyczajami panującymi na warszawskim podwórku przy ulicy Stalowej, jedno głośnie uderzenie w blaszane skrzydło bramy stanowiło komunikat: „Obcy wchodzi na teren”. Dwa lub więcej były już poważnym ostrzeżeniem, bo oznaczały, że jakieś służby – policja albo skarbowka – wjeżdżają na podwórze.

Tego listopadowego dnia, kiedy detektyw Jacek Kowalik usłyszał pojedynczy odgłos uderzenia, poczuł się dziwnie zaniepokojony. Zupełnie jakby dotarła do niego jakaś negatywna energia. Późna jesień nigdy nie nastrajała go pozytywnie, ale żeby przejmować się obcym na swoim terenie? Z reguły prawie nie reagował na sygnały od czujki w bramie, ale tym razem poszedł sprawdzić, co się dzieje. Przechodząc z pokoju do kuchni, której okno wychodziło na otoczone kamienicami podwórze studnię, usłyszał jeszcze chrobot zamka w drzwiach w mieszkaniu naprzeciwko. Sąsiad, hurtownik perfum, w większości podrabianych, na wszelki wypadek się zabezpieczał.

Jacek wyjrzał przez okno i aż zamarł na widok potężnie zbudowanego, wysokiego blondyna w zielonej kurtce M-65. Na oko miał sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu. Kowalik przyjrzał mu się uważniej i ze zdumieniem rozpoznał Zbyszka Madziaka, swojego byłego podwładnego z czasów, kiedy dowodził policyjnymi antyterrorystami. Zbychu był jedynym, który wzrostem dorównywał swojemu dowódcy, a muskulaturą nawet go przewyższał. I taki właśnie był potrzebny, bo to on zwykle wchodził pierwszy z ciężką tarczą i młotem saperskim albo taranem wywalał drzwi. Na jego widok każdy mówił: „kawał chłopa”. Nie zmienił się zbyt wiele.

Zbyszek skierował się do innej klatki schodowej. Jacek otworzył okno i zawołał:

– Zbychu!

Mężczyzna spojrzał w górę i się uśmiechnął.

– Jeśli do mnie, to tędy! – Jacek wskazał kierunek.

Zbyszek pogroził pięścią Wojtkowi stojącemu na czujce i ruszył w stronę właściwej klatki. Po chwili już się witali, a Jacek zapraszał go do pokoju.

– Ale się dowódca ukrył, żeby nie powiedzieć: zamelił – skomentował Zbyszek i po namyśle dodał: – Ten gość w bramie jest jakiś dziwny. Pytam go, gdzie mieszka Jacek Kowalik, a on do mnie: „A ty kto?”. Udałem, że nie słyszę, i ponownie pytam o numer mieszkania, a on wzrusza ramionami i mówi: „Zależy, kto pyta”. No to wykręciłem mu łapę, przycisnąłem, a on pokazał mi wejście nie do tej bramy, skubaniec, i jeszcze wystękał: „Jedenaście”. Ani brama, ani numer się nie zgadza! Co to za cudaczne

zwyczaję? Chłopak ze złości aż w bramę przykopał, kiedy go puściłem. Też mu kopa sprzedam, jak będę wychodził. O ile wcześniej się nie zawinie.

Jacek pokiwał głową z rozbawieniem.

– Odsuść mu, Zbychu, tutaj tak jest. W bramie stoi czujka i pilnuje, żeby nikt niepowołany tu nie wlaźł. Sąsiedzi kręcą różne lody, wiesz... lewe fajki, podróby ubrań, więc wystawiają chłopaka, który za parę groszy ma na wszystko oko. Pewnie prochami też kręcą, choć ja oficjalnie nic o tym nie wiem. I powiem ci, że nie narzekam. Jak mnie wywalili ze służbowego mieszkania, urząd miasta złośliwie przydzielił mi ten lokal. Nikt go nie chciał, ale jakoś sobie poradziłem. Przyzwyczailem się, sąsiedzi mnie zaakceptowali, choć początkowo się boczyli, bo wiesz, były policjant. Ale potem ja im pomogłem, oni mnie i się ułożyło. Ten chłopak po prostu wykonywał swoje zadanie. A w bramę kopnął, bo taki mamy sygnał ostrzegawczy, że ktoś obcy wchodzi na teren.

– Aaaa... – Po tym stwierdzeniu Zbyszek zamilkł i się zamyślił. Rozejrzał się po pokoju, którego parapety były zastawione storczykami. Część z nich akurat kwitła i intensywnie pachniała. – Ale zapach... Chyba dowódca ma w końcu jakąś kobietę na stałe, bo te kwiaty...

– Jestem z kimś, ale nie mieszkamy razem.

– To bardzo nowocześnie. Jak mówią młodzi, LAT – razem, ale osobno. Te kwiaty mnie zmyliły... Racja, przecież dowódca zawsze miał u siebie jakieś rośliny! Były jaja, jak po dowódcy został tylko jeden kaktus, który potem zakwitł. Wszyscy latali po pokoju i szukali zepsutego mięsa,

tak śmierdziało. Dopiero po jakimś czasie ktoś powąchał ten kaktus i okazało się, że to od niego tak jedzie. A kwiatki miał nawet ładne, takie żółtobrazowe. Jeszcze przez parę lat stał w tym pokoju. Rozrósł się.

– To była stapelia, ona tym zapachem wabi muchy do zapylania. Zbychu, o czym właściwie przyszedłeś pogadać po tylu latach? Bo chyba nie o roślinkach?

– Widzi dowódca, trudno tak od razu przejść do rzeczy. Chodzi o to, że zaginął Artur. Nasz Arturro Orzelek, Orzełowski.

Jacek drgnął, bardzo poruszony.

– Jak to: zaginął? Co się stało?

Zbyszek Madziak westchnął i przez chwilę pocierał dłoń z wyraźnym zakłopotaniem.

– Dwa dni temu jego żona dała nam znać, że nie wrócił z polowania. Zgłosiła to telefonicznie policji, ale miała wrażenie, że to olali, więc zadzwoniła do mnie. No to pojechałem z nią do komendy, a potem zaczęliśmy sprawdzać. Jego telefon zamilkł zaraz po tym, jak pojechał do lasu. Trudno było go namierzyć, bo tam jest słaby zasięg, ale Robert Dędzich... pamięta dowódca Dędzicha?

– Pewnie!

– No to w trakcie akcji pocisk drasnął go w szyję. Uznał wtedy, że to jest ostatnie ostrzeżenie i ma dosyć kuszenia losu. Rzucił AT i pracuje teraz w technice operacyjnej, na ustaleniach. Napracował się nad lokalizacją telefonu Artura, ale określił obszar zaledwie w przybliżeniu, bo telefon miał kontakt tylko z jedną stacją. Żeby wyznaczyć punkt, musiałyby go namierzać dwa przekaźniki. Sprawdziliśmy

ten teren, większość to las, i nic to nie dało. Może trzeba by poprawić, bo tego dnia lało, jak to w listopadzie. Telefon się od tamtej pory nigdzie nie zalogował, Robert cały czas trzyma rękę na pulsie. No i samochód Arturka też zniknął. Zarejestrowaliśmy go na bęben jako poszukiwany, ale nikt go na razie nie wytropił. Te barany, które przyjmowały zgłoszenie, nie zrobiły nawet tego! Artur jeździł dziesięcioletnim ciemnoszarym Subaru Foresterem. Zrobiliśmy, co się dało, i nic, jesteśmy w czarnej dupie. Artura nie ma, żona i córka odchodzą od zmysłów, my się denerwujemy... Wpadłem więc na pomysł, że a nuż dowódca by się włączył jako detektyw, spec od odnajdowania ludzi. Możemy na to liczyć? Zrobimy zrzutkę na koszty.

Kowalik aż się poderwał, poirytowany.

– Nie wnerwiał mnie, Zbychu. Przecież wiesz, co zawdzięczam Arturkowi! Jaką zrzutkę? O czym ty gadasz? I w ogóle dlaczego o tym słyszę dopiero teraz? No i jak mówisz „my”, to kogo masz na myśli?

– Przepraszam. Nie chciałem obrazić, ale ludzie się zmieniają i czasem różnie bywa. A „my” to paru z tych, którym dowódca szefował. Trzymamy się razem, spotykamy na strzelnicy, którą prowadzi nasz chłopak, Darek Myczko.

– Ale Darek podobno pojechał na Ukrainę? Jako snajper, zaraz po tym, jak wybuchła wojna?

– Pojechał. Stwierdził, że to jedyna okazja, żeby się legalnie z Ruskimi ponapierdalać. Ale wrócił. Nie opowiada za dużo, ale chyba paru ruskich generałów i pułkowników posłał do piekła. A potem szkolił Ukraińców. Kasy zarobił tyle, że własną strzelnicę otworzył po powrocie. Policja też

z niej korzysta. Jest też Robercik Dędzich, o którym już mówiłem, że siedzi w technice. Jest również Sławek Łuczek, komendant w Darwolinie. No i przyjeżdża do nas na strzelnicę jeszcze Krzysiek Koroszko. On teraz pracuje jako wykładowca taktyki w szkole w Legionowie. Awansował już na podinspektora.

– A ty? Co teraz robisz?

– Zdziwi się dowódca. Rzuciłem policję i przeniosłem się do wojska. Szkolę żandarmów w Mińsku Mazowieckim. Taktyka zatrzymań i takie tam. Lepiej płacą.

Kowalik zamyślił się zaskoczony, a jego gość kontynuował:

– Artur też na strzelnicę przyjeżdżał. Dwa, trzy razy w miesiącu spotykaliśmy się wszyscy u Darka.

– Szkoda, że nie daliście znać. Też bym chętnie do was zajrzał – powiedział Kowalik z lekkim żalem.

– Wiele razy o tym myśleliśmy. Ale dowódca odchodził z firmy w takiej atmosferze... Niefajnie to wypadło na koniec i nie wiedzieliśmy, czy wypada. Ale jak uzupełnialiśmy zgłoszenie o zaginięciu Artura w tym Pawłowiczowie, to na komendzie taka awantura się zrobiła, bo te lenie... Ach, szkoda gadać! No i wtedy pomyśleliśmy o dowódcy.

– Artur był już poza firmą, prawda? Słyszałem kiedyś takie plotki. Miał kłopoty? – zapytał Jacek.

– A gdzie tam! Dwa lata temu przeszedł na emeryturę, bo już mógł. On był przecież z nas najstarszy. I wtedy dopiero odżył! Zaczął intensywnie polować, bo przedtem brakowało mu czasu. Dorabiał w ochronie osobistej, jeździł z biznesmenami i niezłą kasę wyciągał. Kiedyś rzeczywiście miał

kłopoty, ale nie dlatego uciekł na emeryturę. Przy jednym zatrzymaniu mocno sponiewierał syna jakiegoś polityka i tatuś próbował się odegrać. Blokowali mu awans i takie tam. Synkowi postawiono zarzuty za usiłowanie gwałtu i w tym zatrzymaniu wszystko było prawidłowe, ale i tak próbowali go udupić. Może chcieli Artura kupić, a on się postawił i chłopaka zamknął? Wie przecież dowódca, jaki jest Artur. Ale to stara historia i nie ma związku z zaginięciem. No i nic nie wskazywało na to, żeby coś się z Arturem działo. Miał plany, cieszył się z nowego sztucera. Był weselszy niż wtedy, kiedy pracował. I to chyba tyle. Jak się dowiem czegoś nowego, dam znać. To co? Możemy liczyć na pomoc?

– Zbychu! – powiedział Kowalik groźnie.

– W porządku, w porządku. Chciałem mieć tylko czytelną deklarację, żeby chłopakom przekazać.

– No to mówię czytelnie: oczywiście, że się włączę. Ale pod jednym warunkiem.

– No pewnie, we wszystkim pomożemy! Jak tylko będziemy mogli.

Jacek pokręcił głową.

– Pod warunkiem, że przestaniesz z tym „dowódco” i „dowódco”. Przejdźmy na ty.

– A w żadnym wypadku! – Madziak zamachał gwałtownie rękami. – To się nie uda. Cały czas bym się mylił. Proszę, niech dowódca nawet o tym nie myśli. My z chłopakami nie umiemy inaczej. Przecież przez tyle lat tak było, więc niech tak zostanie.

Żeby natychmiast zmienić temat, sięgnął do kieszeni i wyjął z niej pendrive’a.

– Tutaj są namiary na nas wszystkich. Jakby co, proszę dzwonić, najlepiej do mnie, bo ja jestem najswobodniejszy. A jak po jakieś ustalenia, to do Roberta Dędzicha. Podał bezpiecznego e-maila, żeby nikt się nie przypieprzył. Ale do reszty też śmiało można dzwonić. No i ma dowódca wszystko, co do tej pory wiemy, telefon Artura i gdzie się ostatnio logował, numery samochodu i dane tego pacana, który przyjmował zawiadomienie w Pawłowiczowie. No i to jest wszystko, co mogliśmy do tej pory ustalić. Chole-
ra, niewiele tego.

Jacek wziął od niego pendrive’a.

– Gdzie mieszkał w Pawłowiczowie? Pamiętam, że miał żonę. Nie rozwiódł się?

– Nie. Nadal są razem. Proszę koniecznie do niej zajrzeć. Mówiłem jej, że chcemy dowódcę włączyć. Może to ją podniesie na duchu, bo ostatnio jedzie na środkach uspokajających, po całych dniach płacze. Adres jest na pendrivie.

Jacek wstał, żeby przegrać dane na swojego laptopa.

– Wstawię wodę. Kawy, herbaty? Może coś zjesz?

– Nie, nie, nie, będę leciał. Cieszę się, że zastałem...
i w ogóle.

Kowalik skopiował dane i postanowił, że odprowadzi gościa do bramy. Upewni się, że nic się tam nie stanie.

Wojtek tylko obrzucił Zbyszka wrogim spojrzeniem. Kowalik stanął na ulicy i patrząc, jak Zbyszek oddala się szybkim krokiem, pomyślał, jak to fajnie, że jego chłopaki trzymają się razem, i że awansowali. Pamiętał ich dobrze, bo od podstaw uczył ich roboty.

Jego twarz pokryła się cieniem, kiedy przypomniał sobie o Arturze. Z upływem każdej godziny od zaginięcia zmniejsza się prawo do nadziei. Doskonale o tym wiedział.

Wrócił do bramy i wsunął Wojtkowi do ręki banknot pięćdziesięciotowy. Ten spojrzał na Jacka zdziwiony.

– To mój były podwładny – wyjaśnił Kowalik. – Ostry chłopak, więc przepraszam. Mamy trochę kłopotów. Przyszedł do mnie po pomoc, bo zaginął jeden z naszych.

– Ja wiem. Wy psy musicie trzymać się razem. – Wojtek, dzięki banknotowi już mniej naburmuszony, błysnął filmowym cytatem.

– Nawet nie o to chodzi. – Jacek oparł się o ścianę w bramie. – Na koniec służby miałem wypadek. Jeden facet chciał popełnić samobójstwo. Próbowałem go złapać, kiedy rzucił się z mostu, a on pociągnął mnie za sobą. Uszkodziłem kręgosłup i zostałem sparaliżowany. Mogłem ruszać tylko głową. Już na mnie krzyżyk postawili, ale właśnie ten chłopak, który teraz zaginął, zorganizował zbiórkę i zoperowali mnie w Stanach. Żyję i chodzę wyłącznie dzięki niemu.

– No to będzie pan miał, panie Jacku, kupę roboty. Takiemu komuś trzeba się odwdzińczyć, to mus. No i, kurwa, nie chciałbym być w skórze tego, co mu krzywdę zrobił. Pan i ten, co tu był, raczej nie odpuscicie. Będzie ostro.

I dopiero po wypowiedzi tego prostego chłopaka Jacek zrozumiał, jak trudno będzie mu zachować przy tej sprawie zimną krew.

– Dokładnie, Wojtku. Nie inaczej... – powiedział i wrócił do mieszkania poczytać zgrany z pendrive'a materiał i przyszykować sprzęt.